

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV: ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 4 września 1915. Nr. 36.

Z ostatnich walk w Królestwie Pol.



1) Wymarsz Legionistów z Lublina w pościgu za Rosyanami, 2) Zasieki Legionistów w Lubelskiem. 3) Przeprawa Legionistów przez Wisłę pod Józefowem, 4) Kopanie rowów strzeleckich w Lubelskiem.

Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem.

Ze zdumiewającą szybkością posuwają się armie sprzymierzone na Wschód. Padły najsilniejsze twierdze rosyjskie (Brześć Litewski) po kilkodniowym zaledwie szturmie, a Rosyanie mogą poszczycić się jednym tylko sukcesem: uciekają tak szybko, że, jak dotychczas, zwycięskie armie nie zdołały ich osaczyć. Odwrót ich przeszedł jednak przez Królestwo Polskie jak huragan. Armia rosyjska nie tylko stawiała miejscami zaciekły opór, chroniąc w ten sposób odwrót głównych sił, ale paliła i niszczyła wszystko za sobą, aby powstrzymać pościg. Nie ulega też wątpliwości, że ostatnie walki w Królestwie Polskiem były najkrwawszym i przełomowym momentem obecnej wojny.

W walkach tych zapisał się znowu chlubnie żołnierz polski. Legiony polskie walczyły przy wypieraniu Rosyan z Królestwa Polskiego z niesłychaną brawurą i męstwem.

Obecne dzieje Legionów polskich nie tylko w niczem nie ustępują dawnym, lecz nawet je przewyższają, okrywają jeszcze większą sławą rozgłos bitności polskich, bohaterskich zastępów, zdobywając im zasłużone uznanie wojsk sprzymierzonych.



Z Warszawy: Członkowie zarządu miasta.
Henryk Barylski. Manswet Ciemniewski Samuel Dickstein Cels Fabiani.

I nic dziwnego, wszak w Królestwie Legiony polskie reprezentowane są obecnie przez żelazną brygadę Piłsudzkiego i pułk czwarty, godnie miano czwartaków noszący. Dobrze jest znana wszystkim wartość brygady Piłsudzkiego, dorównują jej obecnie czwartacy pod dowództwem pułkownika Roji. Już pierwszy chrzest ogniowy w trzydniowej wielkiej bitwie pod Jazdkowem, tuż za Lublinem, wykazał, iż materyał żołnierski czwartego pułku jest wyśmienity. Bezprzykładna odwaga i brawura, pogarda śmierci, lekceważenie większych sił nieprzyjacielskich, — oto główne cechy pierwszego egzaminu ogniowego, jaki chlubnie zdał wtedy pułk czwarty, odniósłszy pełne zwycięstwo. Były straty wprawdzie dość znaczne, lecz w każdym razie nie zostawały one w żadnym stosunku do osiągniętych sukcesów.

Silnie ufortyfikowane okopy rosyjskie, do których przystępu broniły kilkorzędne druty kolczaste, nie mogły ostać się pod naporem rwących się naprzód czwartaków. Najtrudniejsze zadanie miał do spełnienia batalion majora Galicy i spełnił je znakomicie. W wielkiej tej bitwie brała zaszczytny udział i część pierwszej brygady.

W kilka dni potem pułk czwarty zdobywa silnie wzmocnione okopy pod Kieszkówką, skąd z nieznacznemi stratami wypiera znacznie przeważające siły nieprzyjaciela. Dalej wykonuje więcej, niż rozkaz opiewał, i wyrzuca większe oddziały wojska rosyjskiego z Woli Osowińskiej. Ostatnio 13 sierpnia pułk czwarty przeprowadza nocny atak na las pod Gąsiorami, gdzie Rosyanie ustawili bardzo silny front. — W zaciętej walce, która trwała całą noc przy zaangażowaniu ze strony nieprzyjaciela całej masy karabinów maszynowych, pułk czwarty o świcie w zwycięskim pościgu za uciekającym wrogiem zadawał mu poważne straty. — W całonocnej tej bitwie czwartacy mieli zaledwie 14 rannych, w tem 8 lekko. Małe straty, jakie poniósł pułk czwarty w drugiej i trzeciej z kolei wielkiej bitwie, tłomaczy się tem, że żołnierz, który przeszedł trzydniowy chrzest ogniowy pod Jazdkowem, wprawił się wyśmienicie w wyzyskiwanie terenu i poznał dobrze te wszystkie szczegóły i sposoby nowoczesnej walki



Z Warszawy: Dom przy ulicy Rycerskiej (w pobliżu Zamku królewskiego) uszkodzony wybuchem w dniu 6. sierpnia. (Według fot. warszaw. „Tyg. Illustr.“)





Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Zgliszcza fabryki pod firmą „Ortwein, Karasiński i Ska“ w Warszawie, spalonej przez wojska rosyjskie (Według fot. warszaw. „Świata“.



Z Warszawy: Członkowie zarządu miasta.
Paweł Kłosowski. Kazimierz Koralewski Edward Natanson. August Załuski. Edward Zienkowski.

polowej, jakich niepodobna nabyć w ćwiczeniach teoretycznych.

Na zamieszczonych w dzisiejszym numerze illustracyach z ostatnich walk w Królestwie Polskiem widzimy i naszych dzielnych Legionistów na linii bojowej.



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Dworzec kolei petersburskiej w Warszawie (na Pradze) po odejściu wojsk rosyjskich. (Według fot warszaw. „Tyg. Illustr.")

Z Warszawy.

Prysły wreszcie różne najfantastyczniejsze a bolesne legendy o Warszawie, które w mrokach niewiadomości, co się naprawdę dzieje w stolicy Polski, krążyły w ciągu roku wojny. Dziś wszystkich zdumienie ogarnia i zachwyt wobec godności, hartu ducha i niespożytej energii, jaką ujawniła Warszawa w tym przełomowym momencie. Okazało się, że rządy rosyjskie nie zdołały tam ani na odrobinę przytłumić tętna narodowego, które zajaśniało całym blaskiem czynu natychmiast po ustąpieniu ostatnich szeregów rosyjskich. Warszawa dowiodła, że była, jest i będzie stolicą Polski i że dorosła do tego zadania. Ujawniła przytem nietylko zapał, ale i wzorową organizacyę, która odrazu ujęła w swe ręce najważniejsze dziedziny życia społeczno-narodowego.



Z Warszawy: Posiedzenie straży obywatelskiej w I-szym komisaryacie. (Według fot. warszaw. „Świata")

Gdy wkroczyły wojska niemieckie do Warszawy, zastały tam nie bierną, zdezorganizowaną uciskiem masę, ale organizm żywy i świadomy swych celów. W ciągu kilku zaledwie godzin zorganizowano milicyę obywatelską i komisaryaty, które objęły pieczę nad miastem i wzorowo ją sprawują. A choć nie umilkł jeszcze odgłos armat, komitet obywatelski postanowił od razu, za jednym zamachem zniszczyć jedyny skutek rządów rosyjskich — brak oświaty ludowej, wprowadzając obowiązkową i przymusową naukę w szkołach ludowych miasta Warszawy, z zamiarem rozszerzenia jej na cały kraj, gdy tylko warunki na to pozwolą.



Z Warszawy: Zmiana posterunkowego milicyi. (Według fot. warszaw. „Świata")

Prasa warszawska z entuzyazmem wita wspaniałą uchwałę Centralnego Komitetu Obywatelskiego o wprowadzeniu powszechnej obowiązkowej nauki w Warszawie i założeniu czterystu szkół kosztem 1,800.000 rubli. „Kuryer Warszawski" nazywa tę uchwałę „dziełem narodowem" i mówi:

„Potężną rzecz bierzemy na swe barki. W kraju, w którym jest z górą 50 procent analfabetów, któremu zbywa na budynkach szkolnych i nauczycielach, który stał się ofiarą wojny, rozpocząć nau-



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Most kolejowy w Warszawie w chwili wysadzenia go w powietrze przez cofających się Rosyan w dniu 5. sierpnia. (Według fot. warszaw. „Tyg. Illustr.")



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Zburzona apteka w Kazimierzu

czanie powszechne — to zobowiązanie ogromne, wymagające wyjątkowego wytężenia sił organizacyjnych, szerokiej ofiarności materyalnej i nadzwyczajnego poświęcenia jednostek. A przecież nietylko niepodobna się od niego uchylić, lecz, przeciwnie, uważamy za błogosławioną tę chwilę, w której możemy je powziąć. Jakiż to widok tego narodu, który, ociekając krwią, nie otarłszy jeszcze łez, wylanych nad ruinami i zgliszczami, za pierwsze zadanie swe uważa — budować szkołę! Co za pouczający przykład dla wszystkich tych, którzy mieli nas za upadłych na duchu, bezsilnych i marzących choćby o ladajakiej przyszłości, co za odpowiedź dla tych, którzy nam nerwowo zarzucali „sadzenie kartofli“, mniemając, iż w narodzie zakrzewił się podły chwast materyalistyczny!“

Organ warszawski nie wątpi ani chwili, że „zapał powszechny przełamie wszelkie przeszkody“ i dokona „wielkiego dzieła naprawy narodowej od fundamentów“.

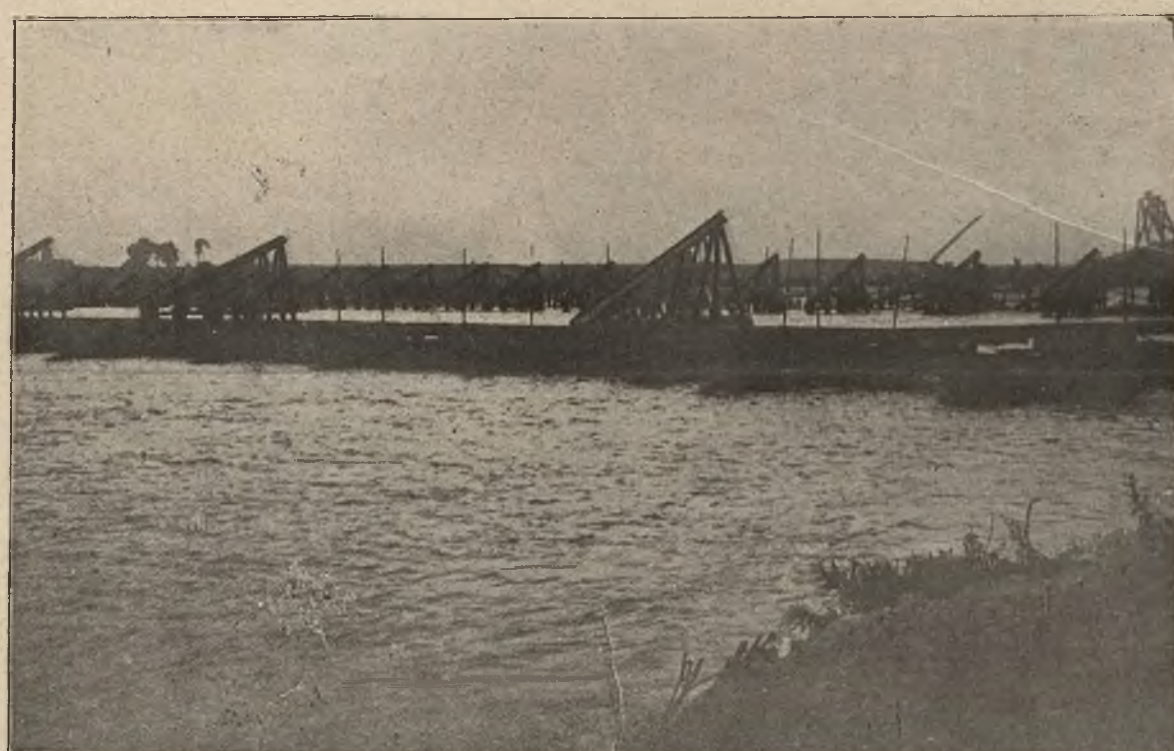
Nie na tem jednak kończy się szeroko zakreślona akcya oświatowa w Warszawie i w Królestwie Polskiem. Aby wyplenić analfabetyzm rzucono nawet projekt przymusowego nauczania analfabetów. Pan Łypacewicz podaje w „Przeglądzie Por.“ szereg środków doraźnych celem możliwie najszybszego zaradzenia klęsce analfabetyzmu. Według tego projektu kwestya analfabetów może być rozwiązana w pół roku. Wystarczy, jeżeli znajdzie się 70.000 osób, z których każda zechce poświęcić dwie godziny dziennie przez trzy do czterech miesięcy i nauczy czytać, pisać i rachować 50 analfabetów. Zająć się tem powinna cała inteligencya bez względu na zawód, przeprowadzić całą organizacyę, spisać analfabetów, dla chętnych kandydatów na przygodnych nauczycieli zorganizować kursa zbiorowe o metodyce nauczania analfabetów i wydać podręcznik metodyczny, wyjednać lokale i środki potrzebne u miast i t. d.

Przyznać trzeba, że jak na czasy wojenne plan bardzo rozległy, ale bynajmniej nie fantastyczny, jeśli się weźmie pod uwagę to, czego już Warszawa zdołała dokonać w ciągu tych kilkunastu dni na rozmaitych polach życia społechnego i narodowego, a zwłaszcza w dziedzinie oświaty. Zajmuje się nią Wydział oświaty w Centralnym Komitecie Obywat. który dzieli się na siedm sekcyj, obejmujących następujące działy wychowania: przedszkolna, szkoły elementarne, szkoły średnie, szkoły zawodowe, wychowanie cielesne i pozaszkolne, uniwersytety ludowe i zakłady akademickie.

Rezultatem prac tej ostatniej sekcyi wydziału oświaty będzie rychłe już otwarcie polskiego uniwersytetu i politechniki w Warszawie, które nastąpi w październiku. Co do sił profesorskich, nietylko wystarczy ich do obsadzenia na razie obu tych uczelni, ale nadto jeszcze do prowadzenia, jak dotąd, wyższych kursów naukowych, które otwarte zostaną w połowie września. Katedry we wszystkich tych wyższych zakładach obsadzone będą wyłącznie przez siły warszawskie.

Opieka nad rannymi.

Wskutek toczącej się obecnie wojny, państwo musi wziąć na siebie obowiązek utrzymania znacznej liczby kalek, którzy spełnienie swojego obowiązku wobec państwa okupili trwałem kalectwem. Rząd już teraz stara się zapewnić tym kalekom możność podjęcia poprzedniej pracy zawodowej —



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Spalony most na Wiśle pod Józefowem.

względnie ułatwić obranie pokrewnego zawodu, któryby mogli pomimo kalectwa sprawnie wykonywać.

W tym celu stworzyła wojskowość szereg szkół dla żołnierzy-kalek, oraz szereg zakładów dla żołnierzy-ozdrowieńców. W zakładach tych mają ranni żołnierze znaleźć nie tylko tymczasowe pomieszczenie, lecz także przez odpowiednie leczenie i odpowiednie kształcenie odzyskać — jeśli nie całkowitą, to choćby częściową zdolność zarobkowania, by w ten sposób nie być później ciężarem dla społeczeństwa. Obok leczenia, przeważnie ortopedycznego, ludzie ci oddają się pracom w rozmaitych warsztatach rękodzielniczych, przyczem narzędzia rękodzielnicze są zastosowane do rodzaju ich kalectwa.

Rolnik, który poprzednio zajmował się wyłącznie tylko uprawą roli, uczy się obecnie dodatkowo jakiegoś rzemiosła, np. stolarstwa lub tokarstwa, a zwiększając w ten sposób swą zdolność do zarobkowania, stwarza sobie nowe źródło dochodów.

Umieszczone fotografie przedstawiają prace i życie w zakładzie dla żołnierzy lwowskiego korpusu w Gösting pod Grazem. Zdjęcie pierwsze unaocznia nam grupę żołnierzy, ćwiczących na przyrządach ortopedycznych, drugie zaś żołnierzy, ćwiczących laskami.

Zabiegi lecznicze, stosowane w powyższym zakładzie, dały już w wielu wypadkach zadowalające wyniki; należy się więc spodziewać, że pokaźna ilość chorych, leczonych w powyższym zakładzie, uzyska po pewnym czasie niezbędną do utrzymania życia zdolność zarobkowania.



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Moździerz austryacki na pozycyi.

JÓZEF LASOŃ.

Legiony.

Fragmenty.

Z pamiętnika Stan. Liszki.

...Pomnisz! Druhu, pomnisz 1905 rok... Kiedy to krew polska się lała... pomnisz... barykady... rewolucyę...

Na ulicach Warszawy ruch niebywały... Ludzie pędzą na wszystkie strony miasta, ktoś przystanie na chwilę i znów pędzi dalej. To znów jakieś papiery z rąk do rąk się przesuwają, proklamacye, odezwy i t. p. Przygnębienie, bojaźń, czasami odbłysk radości na twarzach ludzkich się pojawi.

Pod drzwiami fabryki, która opustoszała z pracowników, przystanęła postać ludzka, stanęła nieruchomo i patrzy rozszerzonemi źrenicami na przesuwających się ludzi przed jej wzrokiem. Twarz opalona od słońca, jak również od kotłów i ognia fabrycznego, wychudła, rezygnacyę, zaciętość, zemstę jakąś zdawała się gotować. Ludzi wzrok ten przyciąga, oczy w czarnych obwódkach, zapadnięte, zmarszczki na czole, jak świeżo poorane pole.

Stoi u wrót swej fabryki, zbity, skatowany, w oczach zaschnęły łzy.

Przysuwa się do niego jakiś człek i szepcze:

— Towarzyszu Tygrysie! Chodźcie do mnie do chaty, trochę odpoczniecie. Ach! A to co? Toż wam krew z czoła spływa! Pewnie ktoś donos zrobił na was, skatowali was. Chodźcie do mnie!

— Bóg zapłać za dobre serce — Tygrys odrzekł — muszę tu pozostać, to mój obowiązek. Ludzie naprożnoby czekali... Idźcie, Grzegorzu, do domu, póki żyję, o sercu waszem nie zapomnę! Starać się będę, aby wam wszystkim lepiej było! Choćby mnie ubili, to nic. Przez ból i cierpienie szczęśliwymi być musicie!

— Tygrysie, a wy nie zamierzacie być również szczęśliwym? — zapytał Grzegorz, patrząc ze współczuciem.

— O mnie, to mniejsza, ja i tak życie wnet zakończę!

— Krew wam z czoła ciecze, zmasakrowali was zbiry, a zresztą tu jest złe miejsce do rozdawania proklamacyi, lada chwila wpaść możecie w ręce kozaków.

Jednakże, pomimo usilnej prośby Grzegorza, Tygrys pozostał na placówce, rozdając ukradkiem odezwy, wzywające do rewolucyi.

Późną nocą oczekiwała rodzina na powrót Tygrysa. Zniecierpliwiona matka tuliła do piersi i uspokajała kilkoletniego syna, a na zapytanie odpowiadała, że tatuś zaraz wróci. W nocy przyszedł Grzegorz, pytając o przyjaciela, mały synek z rozpaczliwą miną odpowiada, że taty niema.

Nie zobaczyli go już więcej! Tygrys wytrwał na placówce. Drugiego dnia wpadli kozacy, zbili żonę i syna małego, klnąc na nich, wkońcu powiedzieli, że został powieszony.

Mały chłopak z oczami krwią nabiegłemi, z zaciśniętymi zębami patrzył na tę scenę, słyszał słowa o śmierci ojca... i rósł z zarzewiem w sercu przeciw carowi, za ojca, matkę i Ojczyznę...

— — — — — — — — — — —

W piękny słoneczny dzień znów biegną ludzie, jak przed dziesięciu laty. Na koniach i pieszo suną wojska przez Kielce. Rozigrała się wojna, cała machina wojenna w ruchu. Ze wsi Szydłówki biją armaty austryackie, w Kielcach ludność cywilna zamyka bramy, wszystko się chowa. Machina wre na ulicach, nad miastem przelatują pociski, gdzieniegdzie pęknie szrapnel, grad kul posypie się, świszczący granat uderzy w ziemię, zaryje się głęboko, wyrzuci słup ziemi w powietrze i znów zaświszczą kule karabinowe. Jęk trafionego kulą żołnierza przedrze się głośniejszem echem wśród wycia rozszalałych pocisków, krew chlupnie z poszarpanych ludzi i zwierząt, z hukiem zawali się chałupa, lub zapłonie ogniem, ...to dzieło wojny.

Legiony w ogniu. Wśród szeregów siwych mundurów uwija się żwawo młody chłopak z roziskrzonem okiem. To syn powieszonego w Warszawie Tygrysa. Żwawo na rozkaz komendanta wdrapuje się na dachy domów, upatruje nieprzyjaciela z radością na twarzy i zaciekłością.

Wśród piekielnego ognia pędzą naprzód Legioniści, do środka miasta dotarli, zebranym tam kozakom niespodzianie z karabinów śmierć szykują.

Młody Tygrys na przedzie komenderuje:

— „Paczkami“ prędzej strzelać!

Ach! Tyle już Moskali rozciągniętych leży na ziemi, krew ich kanałem spływa, podnieca to jeszcze więcej młodego żołnierza.

Ze strony Szydłówki dragoni rozpoczęli szarżę. Pochowali się kozacy za słupy telegraficzne, kupy przydrożnych kamieni i gęstym ogniem wstrzymują szarżę kawaleryi. Gdy pierwsze i drugie szeregi padły, widzi Moskal, iż tu czarty są, czarty nieznane, buntowszczyki! Nie chcą Moskale zatem ustąpić. Pozornie nie chcą ustąpić z rynku kieleckiego, jednakże po chwili nadjeżdża automobil z karabinem maszynowym, który natychmiast rozpoczyna pukaninę w stronę Legionistów.

Lecz natrafili na silny opór i ogień Legionistów. Automobil chciano zawrócić, w międzyczasie jednakże celne strzały zabiły oficera i dwóch żołnierzy, szofer, rozkrzyżowawszy ręce, spadł z automobilu, głową uderzył o wystający przydrożny kamień, mózg prysnął z pękniętej czaszki, krew zabarwiła szarą ziemię. Automobil, straciwszy szofera, z hukiem wpadł na róg kamienicy, rozbijając się.

Zdobyto automobil i karabin maszynowy.

— — — — — — — — — — —

Deszcz grubemi kroplami pada. Wiatr łanami zbóż kołysze, jak gdyby złamać chciał ich twardość i nieugiętość.

Głośne „pojedynczo naprzód do gościńca, tam okopać się“ padło w szeregi Legionistów.

Komenda spada wraz z deszczem na grupę żołnierzy, stojących przy drzewach.

Dziwne, przykre i ponure wrażenie robi.

Woda ciecze z ubrań, zimno mrozi kości. Lecz na pozór tylko. Twarze żołnierzy zaczerwienione, usta rozchylone, jak gdyby każdej sekundy gotowe były do okrzyku „hurra“ przy pójściu do ataku na bagnety. Czeka każdy z nich na swą kolej.

Hm... Hm... Ludzie...

...Ludzie... Hm... Nie mogę ich nazwać mianem zwykłego śmiertelnika... to bohaterzy, co krwią swoją znaczą ukochanie idei Ojczyzny. Niema nic droższego dla nich, ni życie... z uśmiechem znoszą trudy i cierpienia dla Ojczyzny.

Słowo „naprzód“ przeleciało jak iskra, dusze ich drgnęły, ciała się rozprostowały i jak kula lecą naprzód. Choć w mundury ich kule się wdzierają, z pod nóg granat, upadłszy, ziewnie, w twarz garść mokrego piachu rzuci, idą naprzód.

Chwilami zdaje się, że ten lub ów, obsypany ziemią, przewrócony detonacyą wybuchu, nie podniesie się już więcej, że już szczątki pozostają z niego, tymczasem po chwili podnosi się i biegnie za towarzyszami, pozostawiając za sobą dół, wyrwany pociskiem.

Nikt nie zważa na szum i świst kul, słowo „naprzód“ pędzi ich...

Dwudziesty w rzędzie jest Tygrys.

— Z Dziubą przez pole dwieście kroków. Naprzód.

Dziwo... ten śmiałek, co zawsze obojętny, teraz z lekceważeniem idzie wśród gradu kul.

W międzyczasie zwraca się do Dziuby:

— Wiesz co, Dziuba, mnie dziś ubiją! Dziś stąd nie wyjdę. Dziś czemuś się boję, boję się trochę, lecz to nic...

— Nie bój się — odpowiada Dziuba — To ot taki głupi strach...

Sakramentalne „naprzód“ zabrzmiało w powietrzu.

Już... już Tygrys dobiegł do wyznaczonego miejsca, nagle cichy szept wydarł mu się z ust:

— Dziuba, jestem ranny! w lewej kieszeni bandaż. O... matko!... matko!... — ostatnie wyszeptał słowa, zwalając się na ziemię.

Kula trafiła go w pierś obok serca.

...Rannym!... — wiatr porwał te słowa, a może zaniósł je tej... o której w ostatniej chwili wspomniał... matce...

Noc ciemna.

Złożono ciało w naprędce wykopanym grobie, poczem idziemy naprzód.

Spoczął... na wieki... Deszczyk mogiłę skropił, granat zawył i wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała na pożegnanie.

Mogiłka mała została na skraju lasku pod Tarłowem. Spij, kolego, w ciemnym grobie... śladami ojca idąc... życie położyłeś, jak ojciec twój na ołtarzu Ojczyzny.

Okopy, Królestwo Polskie.

Na etapie.

Wieczorną chwilą niekiedy, gdy łagodny wietrzyk wschodni począł wiewać, podziemny dawał się słyszeć huk, dalekie echo armatnich wystrzałów. Przed domami gromadki ludzi, żywo rozprawiając, rękami wskazywali w stronę, skąd dochodziło echo wystrzałów.

— Słyszycie? Pewnie wielka bitwa wre? — stara, bezzębna kobieta zaschłemi wargami szepcze.

Wicherek upalnego lata szumi listkami drzew, zagłusza chwilami gwar ludzki i echo toczącej się bitwy.

Ludzie w ciszy nocnej bacznie nadsłuchują, myśl nieustannie snuje się, obawa, że niedługo mogą oni i ich chaty stać się terenem walki. Silniejszy strzał, głośniejsze echo trwogą napawa ich dusze.

— Biją się! Panie Jezu, żeby się tu nie przedarli — szepczą ludzie, bijąc się kornie w piersi...

Bu... u... m... — jakby z podziemia daje się słyszeć huk.

— Panie Legion — zapytuje się człek siwy przechodzącego Legionistę — daleko się tam biją?

— Nie bójcie się — śmieje się żołnierz — kula nie doleci!

— E, gdzie ta, panie, a jak się przesuną?

— No, to wtedy doleci!... Z Bogiem, ojcze!

— He... he... doleci... Z Bogiem!

— — — — — — — — — — —

Kłębami dymu owity z hukiem nadjechał pociąg na stacyę kolejową, lokomotywa, gwizdnąwszy przeciągle, stanęła, zatrzymując równocześnie przyczepione wagony.

Pociąg sanitarny z placu boju.

Szybko rozbiegła się służba sanitarna po wagonach, wynosząc ciężko rannych, sanitaryuszki z garnuszkami przebiegają obok pociągu, herbatą racząc spragnionych.

W dużej sali stacyjnej w Częstochowie, w dawniejszym magazynie, obecnie przerobionym na salę transportową rannych, ustawiają saniteci nosze z rannymi, którzy już należycie mają obandażowane rany, w świeżą bieliznę ubrani.

Komendant szpitalny przy biurku, przy nim podoficer kancelaryjny, spisują protokół z ostatniego transportu.

Przy ścianie, żywo gestykulując, na migi rozmawiają dwaj żołnierze. Zajęli się rozmową, nie zwracają uwagi, co wokoło nich się dzieje.

— Mein lieber Kamerad! Legionär! — głośno mówi jeden z nich, ściskając i całując go serdecznie.

Lekarz zainteresowany podchodzi do nich. Niemiec zaczyna mu tłumaczyć, że leżący obok Legionista z narażeniem własnego życia ocalił mu życie. Otrzymał przytem pchnięcie bagnetem.

— Schön, schön — wyciąga lekarz dłoń i ściska czule podaną rękę.

— Dzielni żołnierze! — szepczą sanitaryusze pomiędzy sobą — O, dzielni z nich żołnierze!

Legionista zaś wsłuchuje się w rozmowę, której nie rozumie, patrzy na ciekawie spoglądające nań oczy i milczy.

Spełnił swój obowiązek, dziwne mu, czego ci ludzie od niego chcą.

— — — — — — — — — — —

Umajone konie ciągną nieprzeliczone wozy, pieśń żołnierska rozlega się. Czerwono białe chorągiewki dumnie wznoszą się do góry, na przodzie kompanie kwiatami przystrojone, błyszczą wyciągnięte szable, cisza w szeregach, tylko miarowo dudni krok żołnierzy po ulicy.

Czwarty pułk wyrusza!

Jużci i płaczu było niemało, bo to niejedno serce białogłowy i czarnulki w srogi jasyr Amora zabrane zostało, jużci niejedna matka, błogosławiąc syna, w głos się rozpłakała, ale teraz cisza, bo idą...

Łzy tam na niejednych oczach osiadły, niejedno serce zadrżało, ale, gdy ruszyli już, cisza.

— Żegnaj, Stasieczku!

— Bądź zdrowa!

— Franek, Franek, weź sobie torbę na kości — rubasznie śmieje się Legionista rekrut, który kilka tygodni musi pozostać w szkole żołnierskiej.

— Pójdziesz i ty niedługo!

— Daj Boże dziś!...

Chusteczki z okien wiewają, pożegnania, okrzyki zagłuszają teraz stuk butów żołnierskich.

— Zegnajcie!...

— Cześć!...

Za miastem pieśń wyrywa się z żołnierskich serc na pożegnanie: „Idziem, idziem na Warszawę!“

— — — — — — — — — — —

— Powiedzcie mi, dzieci, pocoście wy tu taki kawał drogi przybyli? — pyta niby srogo chorąży Zieliński — taż wy dzieci same!

— Proszę pana, chcemy służyć w Legionach!
— Wy chcecie być żołnierzami? Toż wy dzieci, na trud żołnierski, na znój nie doroślście jeszcze.
— Chcemy za Ojczyznę walczyć!
— Wiele macie lat? — pyta pierwszego z kraju.
— Ja... ja...
— Tylko nie kłamać!
— Ja... proszę pana, niedługo siedmnaście skończę.
— Bój się Boga, chłopcze! Pocoś tu przyjechał? Skąd?
— Ze Stanisławowa.
— Cóż ja z wami zrobię?
— Proszę pana, chcemy służyć Ojczyźnie!

Czterech z nich uznał lekarz za zdolnych, reszta, jedni z powodu tego, że nie mieli siedmnastu lat skończonych, drudzy, że za wątli i słabi, musieli odejść z szeregów.

Z zasmuconemi twarzami, pokornie chyląc czoła, jak winowajców gromada z sali wyszli, złorzecząc ciału i młodym latom...

...Biedne, a piękne i szlachetne dzieci Polski!...

Z polskich baraków.

Setki listów, kartek z baraków przeszło przez moje ręce, a we wszystkich tylko nuta skargi, żalu, jęki boleści, rozpaczy. Zdawałoby się, że obóz barakowy w Chocni, to prawdziwy czyściec, padoł płaczu, że nic tam nie znajdzie, coby choć na chwilę kazało o złem zapomnieć.

Jakże mile byłem zdziwiony, gdy przez czas pobytu w obozie barakowym miałem sposobność przekonania się, że przy dobrej woli nawet w opłakanych stosunkach można stworzyć pewne podłoże, które życie uczyni znośniejszem i da od czasu do czasu kilka chwil zapomnienia o złej stronie baraków; i w barakach choceńskich umiano choć w części rozbudzić życie kulturalne, społeczne.

Pierwsze miejsce wśród instytucyi kulturalnych w barakach zajmuje szkoła polska barakowa. Wiadomo to już ogólnie, iż w historyi naszego uchodźtwa wojennego, polskie nauczycielstwo piękną i chlubną będzie mieć kartę zapisaną, a naród wdzięczny będzie cichym, ofiarnym pracownikom, którzy w najtrudniejszych warunkach tyle zdziałali dla naszej polskiej młodzieży. Dobrze zapisał się tutaj p. wiceprezydent Rady szkolnej krajowej Dembowski i okazał, że jest opiekunem i nauczycielstwa i młodzieży.

W Chocni nauczycielstwo spełnia dzielnie swój obowiązek, szkoła barakowa o 18 oddziałach a 1650 uczniach, otwarta 4 stycznia, jest prowadzona wzorowo, co zaznaczył p. wiceprezydent, wpisując podczas swej wizytacyi słowa serdecznego uznania do księgi pamiątkowej dla pracy nauczycielstwa.

Zapiszmy nazwiska pełnych poświęcenia nauczycieli polskich, którzy dla dobra dziatwy, przyszłości narodu, zamknęli się na całe miesiące w bara-





Ciężka baterya niemiecka na pozycyi. **Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem:** Ciężka baterya austryacka na pozycyi.



Z polskich baraków: Grono nauczycielskie szkoły barakowej w Chocni. (X) Dyrektor M. Molisak, (XX) ksiądz katecheta Jul. Małysiak.

kach i pracują owocnie nad liczną młodzieżą. Nie obce już jest w kraju nazwisko dyrektora szkoły barakowej, p. Marcelego Molisaka, który w szkole i poza szkołą niezwykle jest czynny. P. dyr. Molisak z Tłumacza nie wie, co to spoczynek, ciągle zajęty, jako prezes komitetu miejscowego, przewodniczący Biura C. K. O. M., w kwestyi opieki nad starszą młodzieżą, wogóle wszędzie.

Wspólnie z dyrektorem pracuje w szkole barakowej katecheta ks. Juliusz Małysiak ze Zwierzyńca. Wiele już przeszedł i doświadczył; 3 października u. r. odjechał ze swym transportem ludzi krakowskich z Grzegórzek, a pierwszy był w barakach, skąd urządzał codzienne wycieczki po powiatach wysokomyckim, litomyckim, opoczniańskim, by odwiedzać ludzi. Dziwić się trzeba, iż przy 34 godz.



Z polskich baraków: Opiekunowie Związku młodzieży w Chocni: (od lewej ku prawej) ksiądz K. Prażnowski, sekretarz p. Cz. Żułkiewicz, ksiądz R. Stojanowski, ksiądz J. Danek.

nauki, jeszcze ma czas i siły na zajmowanie się wielu sprawami dla dobra ludności.

Zapisuję nazwiska sił nauczycielskich: Pp. Budwiński Franciszek, Jurkiewicz Helena, Molisakowa Marcela, Baranowski Jan, Niewrzałkiewicz Henryka, Baranowska Zofia, Kłosowski Tadeusz, Neuhoffówna Wanda. Wójcicki Edward, Wsołkówna Stanisława, Niewrzałkiewicz Matylda, Halardziński Józef, Hrapkiewicz Józef, Jaworska Julia, Szymonowiczowa Zofia, Glińska Marya, Żukowa Zenobia, Żuk Bazyli, Mrozowiecki Józef, Bes Roman, Rut Karol, Żurowski Stanisław, Horodyski Wacław, Szaferówna Zofia, Maksymczuk Antoni, Szpakowski Stanisław.



Z polskich baraków: Grupa skautów w Chocni.

Za wielką zasługę policzyć należy nauczycielstwu, iż zorganizowało i przeprowadziło trzy kursa dla analfabetów, w których wzięło udział około 240 osób i to z dobrym wynikiem. Najciekawsze jednak, iż okazało się, że najwięcej analfabetów było z naszego Krakowa z przedmieść.

Na naszych zdjęciach widzimy młodzież szkolną na wycieczce w borze książąt Kińskych, właścicieli Chocni.

Należy jeszcze zaznaczyć, że ks. Małysiakowi powiodło się skupić większą liczbę dziewcząt i stworzyć jakby stowarzyszenie, które ma swój wydział i odbywa zebrania niedzielne.

Jak pożyteczne tego rodzaju stowarzyszenie, jak wiąże członkinie, to świadczą listy członkiń, które opuściły baraki. Stowarzyszone planują sobie po szczęśliwym powrocie zjazd w Krakowie na 3 maja 1916 r., a na teraz wycieczkę do Pragi.

Ale na tem nie kończy się jeszcze dodatnia strona życia w barakach. Postarano się o to, by wprowadzić organizacyę wśród młodzieży pozaszkolnej męskiej, jak i żeńskiej.

Na zaproszenie komitetu przybyła do baraków p. Helena Horodyska i w krótkim czasie udało się jej powołać do życia „drużynę skautek". Mogłem szczęśliwym trafem wziąć udział w uroczystem otwarciu drużyny — liczącej na początek 35 skautek; nad drużyną objął opiekę komitet miejscowy, a można być pewnym, że drużyna będzie się rozwijać i wyda dobre skautki, bo p. Horodyska ma pozostać na stałe przy szwalni barakowej.

Oprócz skautek istnieje „drużyna skautów" pod kier. p. Karola Kluzy. Skauci ćwiczą na rynku barakowym, a nadto dyżurują w lesie, który już kilka razy usiłował ktoś podpalić, i pilnują sadu, trześni



Z polskich baraków: Drużyna skautek w Chocni z organizatorką p. Heleną Horodyską. (X)



Z polskich baraków: Oddziały szkolne I i II klasy szkoły barakowej w Chocni.

i wiśni nad Orlicą. P. sekretarz Żułkiewicz i p. oficyał Jandera roztaczają opiekę nad resztą młodzieży barakowej.

Nie zbywa też ewakuowanym na pokarmie duchowym — gdyż znajduje się w barakach dość dobrze zaopatrzona biblioteka, dzięki hojnej przesyłce książek przez krakowskie T. O. L. i przez Delegacyę T. S. L. z Morawskiej Ostrawy. Dużo książek nadesłała sekcya biblioteczna przy krak. komitecie doraźnej pomocy. W lesie, na drodze, lub w barakach często można napotkać czytających ze skupieniem książki. Dobre to na zabicie czasu, którego tyle w barakach. *Ks. L. Kasprzyk.*

Stacya dla ozdrowieńców-Legionistów w Morawskiej Ostrawie.

Ciągnąca się przeszło rok wojna stworzyła już całą armię tych, co od kul i trudów wojennych utracili zdrowie. Wielu leczy się po szpitalach, wielu po wyjściu z nich, musi jeszcze czas dłuższy leczyć



Z polskich baraków: Oddziały szkolne III. i IV. klasy szkoły barakowej w Chocni.



Szlakiem bojowym Legionów: Kapitan Terlecki, komendant batalionu, który wymaszerował do Bessarabii.

się, nabierać sił, zanim staną się znowu zdolni do dalszej służby w polu. Dla tej kategoryi rannych, chorych i wyczerpanych powstały już liczne domy rekonwalescentów. W ostatnich czasach stworzono tego rodzaju zakłady, przeznaczone specyalnie dla rannych Legionistów.

W poprzednim numerze pisaliśmy o wzorowo urządzonym Domu dla ozdrowieńców Legionistów w Kamińsku (w Król. Polskiem). W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupę ze Stacyi rekonwalescentów i domu transportowego Legionów polskich w Morawskiej Ostrawie.

Nowa ta instytucya legionowa, przeznaczona dla Legionistów, opuszczających szpitale, znajduje się pod komendą kap. Ludwika Eydziatowicza, b. komendanta placu w Krakowie.

Stacya mieści się w pięknym gmachu i może pomieścić 500 Legionistów.

Drzewo-metal.

Jak się okazało w przebiegu obecnej wojny, o jej ostatecznym wyniku rozstrzyga technika i przemysł. Zrozumiała to obecnie Anglia, której rząd utworzył specyalną komisyę do opracowywania wojennych wynalazków. Wogóle od początku wybuchu wojny, pomimo tak niesprzyjających dla twórczości umysłowej warunków, technicy europejscy nie próżnują, oddając się z zapałem pracy nad nowymi wynalazkami, któreby w obecnej wojnie pobiły środki techniczne przeciwników. Jakkolwiek nie jesteśmy narodem wynalazców i nasi technicy nie próżnują. Mamy tu do zanotowania wynalazek inżyniera wojskowego p. Józefa Dubieńskiego, opracowany ostatecznie w czasie wojny, a mogący mieć również poważne znaczenie dla celów wojskowych.

Wynalazek ten polega na tem, że można zapomocą elektryczności impregnować szlachetniejsze gatunki drzewa specyalnie zestawioną mieszaniną metalową. Proces ten odbywa się w znacznie zmniejszonem ciśnieniu atmosferycznem.

Jak wykazały bardzo skrupulatnie przeprowadzone próby, posiada drzewo, w powyższy sposób impregnowane, wielką wytrzymałość na ciśnienie, zgięcie, ciągnienie i przewyższa wytrzymałość drzewa szlachetnego kilkakrotnie. Ciężar gatunkowy jest nieco większy, natomiast zostaje elastyczność zupełnie zachowaną.

Wynalazek ten znajdzie szerokie zastosowanie w pierwszym rzędzie w awiatyce, a więc przy budowie aeroplanów i balonów do sterowania (Zeppelin, Parseval i t. d.), dalej przy budowie lekkich mostów o wielkiej rozpiętości, wielkich hal fabrycznych, hangarów, przenośnych baraków, w kopalniach i t. d.

Jednocześnie pracuje inżynier Dubieński nad konstrukcyą łatwo przenośnego aparatu, zapomocą którego impregnacyę można będzie przeprowadzać na miejscu, wobec czego wynalazek ten może oddać poważne usługi i na terenie wojny, przy budowie n. p. mostów przez pionierów.



Przyjaciele: Kapitan Heinrich ze swym ulubionym „Ibisem".





Szlakiem bojowym Legionów: Wymarsz batalionu uzupełniającego do Bessarabii.

Batalion przed wymarszem. Grupa oficerów.

Przyjaciele.

Wojna, jak każde przeżywane niebezpieczeństwo, ma to do siebie, że zbliża ze sobą ludzi. W ogniu



Drzewo-metal: Wynalazca inżynier Józef Dubieński.



Z polskich baraków: Członkinie Polskiego Stowarzyszenia katolickich pracownic w Chocni.



Z ostatnich walk w Królestwie Polskiem: Kościół w Rybitwach koło Józefowa, spalony przez Rosyan.

szli z tej przygody, piechotą powrócili do swojej dywizyi.

Kapitan Heinrich znany jest w szerokich kołach miłośników toru wyścigowego we Lwowie i w Krakowie, gdzie przed kilku laty kilkakrotnie jako pierwszy zwycięzca tryumfował.

Z żałobnej karty.

Na wszystkich terenach wojny leje się krew polska. Nietylko na ziemiach polskich krocie Polaków walczą po obu stronach, ale i na zachodzie składają swój podatek krwi... We Francyi w tych



Z żałobnej karty: Ś. p. Zygmunt Szpinger.

dniach padł ś. p. Zygmunt Szpinger, podporucznik wojsk niemieckich, Polak rodem z Torunia, odznaczony żelaznym krzyżem za waleczność. Zginął na polu walki w 27 roku życia.

Ś. p. Zygmunt Szpinger był współpracownikiem firmy Sosnowski i Zachariewicz we Lwowie i z powodu zalet charakteru cieszył się powszechną sympatyą.

granatów i salw karabinowych zżywają się ze sobą towarzysze broni jak najserdeczniejsi przyjaciele, a ten serdeczny stosunek obejmuje nie tylko ludzi, lecz także czworonożnych towarzyszów broni — konie, z którymi żołnierze razem dzielą trudy wojenne i niebezpieczeństwa. Często opowiadają o niezwykłych objawach przyjaźni pomiędzy jeźdźcem a koniem. Takich przyjaciół przedstawia właśnie nasza illustracya. Jest to Lwowianin, kapitan trzeciej dywizyi ciężkiej artyleryi, p. Antoni Heinrich, ze swoim ulubionym „Ibisem". Czworonożny towarzysz broni, którego widzimy na fotografii, jak całuje sie ze swym panem, i w ogniu niebezpieczeństwa okazał się prawdziwym przyjacielem, bo choć sam zginął, uratował życie swemu panu. Stało się to w następujących okolicznościach:

Dnia 10. września 1914 roku kapitan Heinrich celem wybadania stanowiska nieprzyjacielskiej artyleryi pod Gródkiem Jagiellońskim w towarzystwie podoficera Kurka, także Lwowianina, na dwieście kroków podjechał pod okopy nieprzyjacielskie, a gdy na pięć metrów przed dzielnymi jeźdźcami pękł granat, wierny „Ibis" stanął dęba, a kryjąc swoim ciałem swego jeźdźca, padł prawie rozszarpany. Także koń podoficera Kurka ciężko raniony pozostał na miejscu, a obaj waleczni bojownicy, którzy cało wy-



Stacya dla ozdrowieńców-Legionistów w Morawskiej Ostrawie: Grupa rekonwalescentów z komendantem kapitanem Eydziatowiczem (X).

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

8

Korzystając z łatwego dostępu doktora do najlepszych towarzystw w mieście, zapoznał go z markizem de Kermor, który sam nie wiedział może, jakim dziwnym sposobem przegrał pewnej nocy w klubie pięćkroć sto tysięcy do swojego sympatycznego i rozmownego partnera, doktora Magnusa.

Dług ten honorowy musiał być odebrany z rozkazu barona w dwudziestu czterech godzinach. — Wiadomo już, w jakiej formie suma ta została wypłaconą baronowi przez samego markiza. Otóż pieniądze te miały bezwarunkowo powrócić do bankiera i to najkrótszą drogą. Ale doktor Magnus aż do poniedziałku nie pojawił się wcale. W dniu tym baron oczekiwał go niecierpliwie, przeczuwając coś złego. Nic mu się już teraz nie wiodło. To nieszczęsne małżeństwo opóźniało się, rwało... do tego wszystkiego jeszcze psuło się coś coraz bardziej w kopalniach złota. których niezadługo on jedynym akcyonaryuszem zostanie.

— No, nareszcie! — syknął baron do wchodzącego doktora. — Gdzie są pieniądze podjęte przez pana na czek Kermora!

— W banku!

— W banku? i co dalej?

— Dalej!? nic! Wszystko skończone!

— Jakto, skończone, nędzniku?

— Oh! Tylko bez brzydkich słów, bo wracam do swoich chorych.

— Potrafię pana kazać nawrócić z drogi! Mam magnesik — przyznanie się pana, z autentycznym podpisem — prawda? Gdziekolwiek się udasz, ten dokumencik cię doścignie — uważaj!

— Uważaj ty, baronie! Ja już mam teraz z czego żyć, choć nie pracowałem tak, jak ty, dla obcego rządu!

— Co? I gdzież to, proszę?

— W Berlinie... Wilhelmstrasse...

— Złodzieju!

— Łajdaku!

Chwilę mierzyli się oczyma, jak gdyby mieli rzucić się na siebie.

Doktor Magnus pierwszy powrócił do równowagi.

— Bądź ostrożny, baronie — zaśmiał się ironicznie — w twoim wieku gniew szkodzi i wywołać może atak apoplektyczny. Żyłka pęknie... i bądź zdrów, już po interesach. No, ale pomówimy trochę. Markiz się panu już nie wymknie — małżeństwo doprowadzisz do skutku, czego pan chce więcej? A te pieniądze? Wygrałem je, a właściwie zdobyłem, narażając się niemało. Moje są i zatrzymuję je!

— Bezczelny! Za trzy miesiące będziesz bez centa!

— Wezmę od ciebie!

— Chyba kulkę, żebyś raz już skończył!

— Taką, jaką umieściliśmy w krzyżach tego starego idyoty plenipotenta na polowaniu u Kermorów? Pamięta pan?

— Nie wiem o niczem.

— Przypuśćmy! Ale operacye chirurgiczne płaci się grubo nawet wtedy, kiedy się nie udają — pan coś wie o tem!

— No, więc dobrze, daję panu tydzień do namysłu. Do widzenia w przyszły poniedziałek.

— — — — — — — — — — — — — —

Ujrzawszy w poczekalni Andrzeja Delrue, baron skinął na niego.

— Jest co nowego?

— Hrabia już zdrowszy... a reszta idzie dobrze.

— Trzeba przyspieszać. A pan, panie Collin-Megret?

— Chciałem moje uszanowanie złożyć panu baronowi.

— Dobrze — możesz pan odejść. Woźny! Jestem zmęczony! Nie przyjmuję nikogo.

— Oprócz mnie! — zabrzmiał głos donośny.

Z ławki powstał człowiek nędznie ubrany i podszedł do barona, patrząc mu prosto w oczy.

Ubogi krewny.

Baron de Bressien cofnął się pobladły, jak gdyby nagle widmo ujrzał przed sobą. Ręką przesunął po czole, na które wystąpiły grube krople potu i przerażone spojrzenie utkwił w nieznajomym.

— Kto pan jesteś? czego chcesz? nazwisko pana — wyszeptał po chwili z trudem.

— Nazwisko? Nie mam go — a czego chcę, to pan wiesz! To, co mi ukradziono...

— Tu nie ma złodziejów, mój panie.

— Są — stoją naprzeciwko siebie. Izmael Bronn — dodał powolnym i spokojnym głosem przybysz. — Czy przypominasz sobie Izmaela Bronn, dzierżawcę z Przylądka Dobrej Nadziei?

Korzystając z nadejścia woźnego — bankier odpowiedział wyniośle i zimno:

— Nie rozumiem pana zupełnie. Proszę mi powiedzieć nareszcie, kto pan jesteś?

Przybysz skłonił się nizko, oryentując się natychmiast w sytuacyi.

— Ubogi krewny pana barona — odparł pokornie.

Baron odetchnął swobodniej.

— Ubogi krewny! Posiadam ich tylu, odkąd stałem się bogatym. Ale proszę, wejdź pan, może będę panu mógł być w czemś pomocnym.

Gość wszedł do gabinetu i swobodnie zajął miejsce w wielkim fotelu przed biurkiem, ale w ten sposób, że twarzą zwrócony był do bankiera.

— Ostrzegam pana, że mam broń przy sobie — odezwał się spokojnie. — Historya moja będzie trochę długa i znudzi pana, ale pragnę przypomnieć panu parę rzeczy.

— Mów pan! — mruknął baron niecierpliwie. — Ale na broń mam odpowiedź. — Mówiąc to, wydobył z portfelu gruby zwitek banknotów.

Oczy „ubogiego krewnego“ — zabłysły nagle i zgasły.

— Nie zaczynajmy od końca! — zauważył zimno.

Słowa te uspokoiły cokolwiek barona. Obawiał się gorszych rzeczy.

— A więc, chciałem panu powiedzieć — zaczął przybysz — że należę do dobrej, szlacheckiej rodziny, choć trochę ubogiej i choć otrzymałem staranne wychowanie, nie mogłem dosyć szczęśliwie ukończyć nauk, co może jest powodem po części nieszczęścia, jakie mnie prześladowało całe życie. Na Przylądku Dobrej Nadziei, gdzie się zatrzymałem dłużej w powrocie z Ameryki i Australii, byłem inspektorem kopalni złota i zdawało mi się już, że będzie to koniec mojej nędzy i poniewierki.

Ażeby być lepiej widzianym przez władze angielskie, zamieniłem rodzinne swoje nazwisko na nazwisko Wiliama Turnera, a papiery moje i dowody tożsamości, wraz z pewną sumką zaoszczędzoną zdeponowałem u mojego dzierżawcy, Izmaela Bronna, męża pięknej Estery, żydówki, u której stołowałem się, jak wielu moich kolegów i w której kochałem się na równi z nimi.

Żona Izmaela Bronna była, tak jak i on, przewrotna i chciwa. W domu moich dzierżawców przyjmowano nas zawsze gościnnie, pojąc rozlicznymi, rozpalającymi trunkami — tak, że częstokroć, po pijanemu, oszołomieni winem i oczami pięknej żydówki — dochodziliśmy do sprzeczek gwałtownych, a nawet do bójki na noże i rewolwery.

W jednej takiej bójce zginął najlepszy mój przyjaciel i kolega, a ja oszalały i nieprzytomny, pobiegłem, namówiony przez Esterę, do jego mieszkania i wyjąłem ze skrytki pieniądze, które miał tam złożone, a o których ja wiedziałem. Nagrodą tego pierwszego mojego złodziejstwa była żona Izmaela Bronna, decydująca się nareszcie porzucić męża, aby iść za mną.

Ale Izmael Bronn zadenuncyował mnie; schwytano mnie i zasądzono na dożywotnie ciężkie roboty w koloniach.

— I uciekł pan stamtąd? — zapytał z błyskiem radości w oczach bankier.

— Oh! nie ciesz się pan przedwcześnie — rzekł uśmiechając się przybysz. — Ułaskawiono mnie! Przebyłem tam dwadzieścia lat, a życie w koloniach dla więźniów nie bardzo słodkie.

I oto, panie baronie de Bressien, powróciłem na Przylądek Dobrej Nadziei, ale nie zastałem tam już Izmaela Bronna. Powiedziano mi, że został zmuszonym do ucieczki, gdyż policya zanadto się nim interesować zaczęła...

Powróciłem więc do kraju, do Paryża i odczytywałem codziennie wszystkie anonse i ogłoszenia w dziennikach, szukając zajęcia, bo umierałem już prawie z głodu i wyczerpania. I przekonałem się, że moj dziennik, kupiony za ostatniego sou, był lepiej poinformowany odemnie. Objaśnił mnie bowiem, że baron de Bressien, był bogatym, posiadał bank pełen złota na bulwarze Hausmana i wydawał córkę za markiza de Kermor! Więc już koniec nędzy, upokorzeń i włóczęgi! Wiliam Turner nie istniał już więcej — bo baron de Bressien to ja, bogaty bankier z bulwaru Hausmana i ojciec córki, o której istnieniu dotąd nie wiedziałem!

Bankier z tłumionym okrzykiem postąpił parę kroków naprzód, jak gdyby chciał się rzucić na mówiącego!

— A dowody, masz je pan? Czy możesz ujawnić swoją tożsamość? Dla mnie jesteś nikczemnikiem, który chce się podszyć pod cudze nazwisko!

— Tak pan sądzi? Zapominasz jednak, że zanim zmieniłem nazwisko, żyłem we Francyi, tu chodziłem do szkół, miałem kolegów, wspólne fotografie, znajomości. Tak jest, panie Bronn, mogę w każdej chwili udowodnić kim jestem, a jeszcze łatwiej, kim pan jesteś, bo starannie przechowałem dotąd kwit, wystawiony przez Izmaela Bronna, a potwierdzający odbiór moich papierów i pieniędzy. Przyprowadzę stu świadków, którzy rozpoznają w panu żyda z Przylądka Dobrej Nadziei, pomimo brody, jaką zapuściłeś! Gdy wyjdę stąd, udam się prosto do prokuratoryi, gdzie uczynię stosowne zeznanie!

— A więc po co tu przyszedłeś? czego żądasz odemnie? — zapytał zgnębiony i wystraszony bankier.

— Chcę panu sprzedać nazwisko, które mi ukradłeś!

— Za wiele?

— Za połowę pańskiego majątku. Staję się pana wspólnikiem cichym, a dla ludzi ubogim krewnym.

— Pan oszalałeś chyba!

— A pan, zdaje się, traci przytomność umysłu! Pamiętaj, że możesz wszystko utracić. A tak, angażujesz tylko połowę! To warte zastanowienia. No, panie Izmaelu Bronn, szkoda słów, kończmy. Rozumiemy się doskonale. Ja byłem już galernikiem, a pan stać się nim możesz od jutra. Podzielmy się uczciwie. Ile zawiera ta szafa?

Mówiąc to, wskazywał na olbrzymią kasę, której pierwsze drzwi stalowe, grubości kilkunastu centymetrów, szeroko były rozwarte, ukazując misterną instrumentacyę zamków, podobnych do wielkich, skomplikowanych zegarów. Drugie drzwi, świecące się jak złoto, były cokolwiek uchylone.

Dostrzegł to były galernik i nagle nie mogąc przezwyciężyć szalonej pokusy, jak kot zręcznie przysunął się do magnetyzującej go kasy.

— Ile tu jest mniej więcej? — powtórzył drżącym głosem. — Ile, panie Bronn? Wystarczy dla nas obu?

— Przekonaj się pan sam! — odparł podniecony nagłą myślą fałszywy baron. — Drugie drzwi są otwarte! Nie krępuj się pan! Policzymy razem!

Szalony skurcz nerwowy skrzywił jego twarz pobladłą i wstrząsnął całą jego postacią. I nagle, zanim tamten mógł się opamiętać, runął całym ciężarem na drzwi żelazne, zatrzaskując je z wściekłością, podpierając je wyprężonem ciałem, dysząc i charcząc przeraźliwie.

Z kasy dobiegł tylko krzyk stłumiony, chrzęst, głębokie, ciężkie westchnienie agonii i cisza, mącona jedynie świszczącym oddechem mordercy, zaległa pokój...

Ojciec i córka.

Baron le Bressien stał kilka chwil bez ruchu, dysząc ciężko. Wkońcu energicznym wysiłkiem woli otrząsnął się z wrażenia i cofnął się na środek pokoju. Długi strumień krwi sączył się po przez złocone drzwi kasy aż na dywan, znacząc go ciemną plamą.

Nie było chwili do stracenia, ktoś niepożądany mógł nadejść niespodzianie. Płaszcz nieszczęśliwej ofiary wraz z wypłowiałą, starą czapką, leżał na pluszowej kanapie, odcinając się rażąco od lśniącej, jasnej tkaniny. Bankier pospiesznie pochwycił go, i rozciągnął na futrze zaścielającem podłogę, poczem ostrożnie otworzył kasę. Bezkształtna, krwawa masa, w której napróżno odnaleźćby można szczątki ciała ludzkiego, zwaliła się ciężko na ziemię.

Na widok ten baron le Bressien zadrżał po raz pierwszy, lecz nie tracąc zwykłego panowania nad sobą, otrząsnął się szybko z niemocy, jaka nim nagle owładnęła, owinął krwawe szczątki w płaszcz i szybko uniósł ku drzwiom, łączącym jego pokoje z apartamentem córki.

Ale nagle cofnął się przerażony; ciężka portyera sama usunęła się przed nim, ułatwiając przejście! Cóżby to być mogło? Byłażby to niespodziana pomoc wspólnika, czy też świadka całego zajścia? Ale zaraz zabrzmiał cichy, melodyjny głos kobiecy:

— Bądź spokojny, ojcze, to ja, Sydonia. Spiesz się. Może kto nadejść. Drzwi od twojego biura nie są na klucz zamknięte. Prędko! prędko!

Bankier, poznawszy głos córki, odetchnął z ulgą, pomimo, iż obecność jej tutaj w tej chwili napełniła go niezadowoleniem.

— Sydonia! ty tutaj. Widziałaś wszystko!
— Tak! Słyszałam twoją rozmowę z tym człowiekiem. To się stać musiało!
— Nieprawdaż?
— Dobrze uczyniłeś, ojcze. Nie lękaj się, ja cię nie potępię!
— Sydonio, jesteś nieodrodną moją córką!
— Tak! Tamten skłamał! Prawda, że skłamał?
— Masz słuszność, Sydonio! Byłby nas zgubił! Ale cóż pocznę z nim teraz?
— Chodź do mnie, ojcze. Tam najbezpieczniej... Nie oczekuję nikogo.
Spokojnym ruchem wskazała mu schody, wiodące do mieszkania, robiąc mu przejście, poczem szybko zbiegła do gabinetu ojca, przekręciła klucz w zamku i pospieszyła na górę.
W dwadzieścia minut później, ślad nawet najdrobniejszy nie pozostał po dokonanej zbrodni. — Panna Sydonia własnoręcznie starła krew znaczącą podłogę i dywan, oczyściła kasę i uporządkowała gabinet ojca.
Bankier le Bressien mógł już być spokojnym, mając przy sobie tak zręczną i pewną wspólniczkę. Słowa prawdziwego barona le Bressien, oświetlające jej przeszłość ojca, nie sprawiły na niej żadnego wrażenia. Domyślała się jej potrosze, ale przeczuwając, że rozmowa tych dwojga ludzi nie może zakończyć się ugodowo, pospieszyła z dyskretną pomocą w ostatecznej chwili, gotowa na wszystko.
I teraz, siedząc przy suto zastawionym stole w obecności kręcącej się służby, bankierówna wesoło rozmawia z ojcem, rozmyślając równocześnie, co uczynić, aby zatrzeć ostateczny ślad zbrodni, znajdujący się tam w jej sypialnym pokoju.
Musiała znaleźć sposób pewny i bezpieczny, bo twarz jej pogodna przybrała jeszcze bardziej ożywiony wyraz, gdy korzystając z chwilowego oddalenia się służby, szepnęła ojcu:
— Obmyśliłam wszystko... na noc dzisiejszą... wielki piec kaloryferów... bądź spokojny...
Gdy wieczór nadszedł, bankierówna rozkazała pannie służącej przywołać pierwszego kamerdynera, mającego nadzór nad służbą.
— To wy, Janie, macie powierzoną pieczę nad głównym kaloryferem? — zapytała.
— Tak jest, proszę panienki, i właśnie...
— Nie, nie, — przerwała Sydonia — pospieszycie natychmiast do pociągu idącego do Bois-le-Roi.
— Mam udać się do zamku?
— Tak. Powiecie dozorcy i jego żonie, aby wszystko przygotowali na mój przyjazd. Czuję się trochę cierpiącą i lekarz zalecił mi świeże powietrze. Przyjadę tam jutro, pojutrze najdalej.
— Czy mam rozkazać ogrzać zamek?
Ma się rozumieć, i lepiej niż tutaj. Zaziębiłam się w tych dniach, widocznie zanadto oszczędzacie węgla do palenia.
— Każę Franciszkowi nałożyć raz jeszcze do wielkiego pieca i polecę, aby czuwał nad nim noc całą.
— To niepotrzebne, bo sama wydam potrzebne dyspozycye, ponieważ pozostaniecie w zamku czas pewien, aż do mojego odwołania.
— Słucham panienki. Proszę liczyć, że wszystko stanie się według jej rozkazu.
W kilka minut później Jan podążał spiesznie na pociąg, odchodzący do Bois-le-Roi.
Olbrzymi dom, zajmowany przez bankiera le Bressien, ogrzewany był przez cztery wielkie kaloryfery.
Jeden z nich, wyłącznie przydzielony do prywatnych apartamentów barona, był pod dozorem dwóch służących, Jana i Franciszka, zmieniających się kolejno. Dochodziło się do niego przez schody przeznaczone dla służby, zazwyczaj już puste koło godziny dziesiątej wieczorem. O tej porze baron le Bressien, jak zawsze ostrożny i praktyczny, schodził ze swojego gabinetu, aby w wielkim piecu zniszczyć niepotrzebne i kompromitujące go papiery, które powinny były ujść ciekawego wzroku służby.
Był to jego ulubiony sposób grzebania starych spraw. Ognisko kaloryfera było tak obszerne i wygodne, że mogło pomieścić z łatwością rzeczy największej nawet objętości.
Z sali zaś, gdzie mieścił się piec, wiodły drzwi do piwnic bankowych, zawierających skrzynie z depozytami, kasę ogniotrwałą klientów i stosy ważnych dokumentów.
Miejsce było doskonale wybrane do tajemnych obrad i przewrotnych machinacyi bankiera.
Noc już zapadła głęboka i dom cały zaległa zupełna cisza. Stróże nocni z latarkami w ręku obeszli już wszystkie przejścia i korytarze i udali się na spoczynek.
Żelazne drzwi wielkiego pieca rozpalone są do czerwoności. Czuwa nad nim dzisiaj sam baron, w zastępstwie wysłanego służącego.
Po chwili udaje się tylnymi schodami do sypialni córki.
— Wszystko przygotowane — szepce na progu. — Chwila najstosowniejsza — jesteś gotowa, Sydonio?
— Tak, ojcze, czuwam. Możesz zejść bezpiecznie, zaręczam ci, że nam nikt nie przeszkodzi.
— Na dole zamknąłem drzwi.
— Doskonale, powodzenie pewne.
— Podziwiam twoją zimną krew, Sydonio.
— Tak być musi. Chodzi tu o śmierć lub życie.
— Masz słuszność. No, dalej, bierzmy się do dzieła. Ty czekaj tu w klatce schodowej. Tylko nie niecierpliw się, bo to może dłużej potrwać.
Mówiąc to, baron uniósł z ziemi przygotowany worek z ciężarem i ostrożnie zeszedł po schodach do sali.
Sydonia pozostała na schodach bez ruchu i słowa, prawie aż do świtu; od czasu do czasu tylko silny dreszcz wstrząsał jej ciałem, gdy z dołu dobiegał ją zgrzyt otwieranych drzwi pieca, lub trzaskanie węgla, palącego się silnym płomieniem.
Twarz jej była blada, tylko oczy gorzały podnieconym blaskiem, gdy spoglądała niecierpliwie na mały, złoty zegarek, zawieszony u paska.
Już piąta godzina dochodziła, wkrótce służba budzić się zacznie.
Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi, gdy nareszcie posłyszała ostrożne stąpanie ojca.
Twarz miał okopconą, ręce czarne, spalone...
— Skończone — szepnął zmęczonym głosem. — Nie pozostało ani śladu. Chodź, Sydonio, należy nam się teraz słuszny wypoczynek.

Miłość czy honor?

Dzieją się nieraz między ludźmi rzeczy najmniej oczekiwane i nieprawdopodobne.
Jakaś nagła, nieprzewidziana zmiana zrodziła się w duszy markira de Kermor od dnia ostatniej jego rozmowy z żoną, spowodowanej wypadkiem syna. Trzeba przyznać, że zwolniony był od niebezpiecznych pokus, nasyłanych mu dawniej przez barona de Bressien, który już dziś nie miał celu niszczenia go i doprowadzenia do ostatecznej ruiny moralnej i majątkowej, skoro małżeństwo jego córki z synem markiza było już rzeczą postanowioną.
Markiz de Kermor, pozostawiony w spokoju, mógł nareszcie zastanowić się nad sobą i łatwiej uledz łagodnemu wpływowi swojej wyrozumiałej i szlachetnej małżonki.
Zrozumiał nareszcie, że handel zawarty z baronem nie był ani uczciwym, ani etycznym i że znalazł się w bardzo nieprzyjemnej sytuacyi i wobec syna.
— Do dyabła! — rzekł sam do siebie z niezadowoleniem — powinienem przecież mieć rozum i zastanowienie. Może jeszcze znajdzie się sposób uniknięcia tego wszystkiego! Sytuacya jeszcze nie jest tak rozpaczliwa, jak się mi wydawało.
Teraz skoro długi honorowe zostały załatwione, pozostały tylko zwykłe zobowiązania pieniężne, tylko, że markiz nie mógł liczyć w tym względzie na pomoc bankiera, w razie zerwania małżeństwa jego syna z bankierówną.
I wtedy markiz zaczął się poważniej zapatrywać na awanturnicze, jak je dotąd nazywał, zamiary podróżnicze syna w głąb Afryki. Gdyby mu tak towarzyszył! Markiz nie był tchórzem, wolał w każdym razie zginąć w wyprawie, niż kończyć samobójstwem. A przytem, kto wie? Może się sprawy dadzą jeszcze korzystnie ułożyć? Może zdobędą przecież tam, w tych lasach niebezpiecznych, tak pożądany majątek?
Zauważył przytem, że w ostatnich dniach bankier zmienił swoje postępowanie, stał się rzadszym gościem, a Sydonia, tłumacząc się wzruszeniem i zdenerwowaniem, w jakie je wprowadził stan narzeczonego, oznajmiła swój stanowczy zamiar udania się na pewien czas do Chateau-le-Roi w celach wypoczynku.
Można więc było odetchnąć swobodniej i oczekiwać biegu wypadków.
Markiz zaprzysiągł sobie nie siadać więcej do gry hazardowej, wiedząc już teraz, że nie może liczyć na pomoc swojego bankiera.
Aby zaś zabić czas, który dłużył mu się nieznośnie, prowadził długie rozmowy z Andrzejem Delrue, omawiając stan swoich finansów, które niestety raz jeszcze przekonały go, że jedynie małżeństwo syna lub nieprzewidziana jaka szczęśliwa okoliczność stać się tu może jedyną siłą pomocną.
Do tego małżeństwa jednak markiz dopuścić nie mógł, widząc rozpaczliwą niechęć syna i niepomyślny stan jego zdrowia.
Postanowił użyć wpływu starego lekarza domowego, aby przynajmniej opóźnić termin fatalny i zasugerował mu konieczną potrzebę wysłania Henryka na południe.
Baron le Bressien skrzywił się niezadowolony, dowiedziawszy się o tym projekcie, ale nie śmiał pogarszać sprawy zbytniem wymaganiem i presyą.
Markiza zaś ze swojej strony czyniła gorliwe poszukiwania za zaginioną Janiną le Brenn, widząc jednak bezskuteczność swoich zabiegów, odważyła się na ostateczną rozmowę z synem, przeczuwając, że i on może skrycie gorąco jej pragnie.
— Moje dziecko drogie — rzekła pewnego wieczoru, korzystając z lepszego usposobienia Henryka — zauważyłam, że od pewnego czasu nie wspominasz mi wcale o narzeczonej swojej.
— Masz słuszność, mamo — odparł uśmiechając się Henryk — stałem się egoistą i tylko myślę o sobie...
— I o niej!
— I o niej — powtórzył Henryk. — Tak, myślę często o pannie Sydonii, tej czarodziejce milionowej i...
— Ja mówię o Janinie le Brenn, Henryku!
Młody człowiek wstrząsnął się i płomienna łuna krwi przebiegła jego twarz wybladłą.
— Ah! Janka! — wyrzekł, siląc się na ton żartobliwy. — Przeciwnie, zdaje mi się, że zupełnie zapomniałem o jej istnieniu! Co się z nią stało właściwie?
— Nie wiem. Nie mogłam nigdzie zasięgnąć o niej wiadomości. Oszczędności jej pozostały u mnie...
— Zapewne ich już nie potrzebuje — odrzekł gorzko Henryk.
— Czy sądzisz może, że ona już nie żyje?
— Oh! nie! — zawołał Henryk, przejęty nagłym lękiem. — Przecież nie miała powodu umierać. Przed nią życie dopiero się otwierało! Zapewne znalazła jakiegoś wspaniałomyślnego opiekuna, których zresztą nie brak w Paryżu.
— Dlaczego tak mówisz, Henryku, i rzucasz niegodne podejrzenie na biedną dziewczynę.
— Biedną? — powtórzył młody człowiek drwiąco. — Nie musi być tak biedną, skoro pozostawiła u ciebie zaoszczędzone pieniądze. A ta jej ucieczka nagła może dać wiele do myślenia!
— Uciekła przed grożącem jej niebezpieczeństwem, przed tobą!
— Przedemną? Dlaczego?
— Bo nie możesz być jej mężem, bo kochacie się oboje, a ty jesteś narzeczonym panny Sydonii le Bressien.
— Co? co mówisz, mamo? — szepnął Henryk silnie wzruszony. — Janka mnie kocha? sądzisz, że przezemnie...
— Tak jest... i ty ją kochasz, Henryku!
— Boże mój... więc...
— Więc co, dziecko moje?
— Nic, już nic!
Nagle zniechęcenie ogarnęło Henryka, przypomniał sobie surowe oskarżenia Andrzeja Delrue i niewiara, którą tenże umiał tak zręcznie wzbudzić w nim — odezwała się znowu.
— Pozostawmy te dziecinne marzenia — odezwał się wkońcu. — Prawdą jedyną jest to, że kocham pannę le Bressien i że niedługo poślubię ją.
— Nie jesteś szczery, Henryku.
Markiza wyrzekła te słowa, patrząc prosto w oczy syna, który zarumienił się pod jej badawczem spojrzeniem.
— I nie umiesz ukrywać prawdy — dodała łagodnie, biorąc go za rękę.
— Mamo, przysięgam ci...
— Nie, nie przysięgaj. Wiesz, co jest prawda? Że nienawidzisz Sydonię i, jeżeli zostaniesz jej mężem, będzie to nieszczęściem twojego życia. Żenisz się, a właściwie poświęcasz się, by dom nasz uratować przed ruiną.
Henryk poruszył się niecierpliwie.
— Nie zaprzeczaj. Kłamstwo twoje jest szlachetne, ale niemniej przez to istnieje. Otóż, posłuchaj mnie, ja, matka twoja, nigdy nie przyjmę podobnej ofiary! Nie po to wychowałam cię i kocham ponad wszystko, aby się przyczyniać do twojego nieszczęścia. To rozsądne, a właściwie szalone małżeństwo nie przyjdzie do skutku w tych warunkach. Stanowczo sprzeciwiam się temu. Wolę najgorszy mezalians, powodowany szczerem uczuciem, niż ten wstrętny układ!
— Mamo, zapominasz, że związałem się słowem. To rzecz zbyt poważna!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Opieka nad rannymi: Ćwiczenia na przyrządach ortopedycznych pod nadzorem lekarskim w zakładzie dla żołnierzy-ozdrowieńców w Gösting pod Grazem.



Opieka nad rannymi: Zakład dla żołnierzy-ozdrowieńców w Gösting pod Grazem. W pierwszym rzędzie grupa oficerów, lekarzy i pielęgniarek. (Od strony lewej ku prawej:) dr. Skulski, kierownik szkoły dla analfabetów, kapitan Almer, major Osadca, komendant zakładu, lekarz pułkowy dr. Selzer, starszy lekarz dr. Stupnicki, medyk Bant.

Kronika tygodniowa.

Kronikarz nie będzie miał nigdy spokoju, chyba po najdłuższem życiu, gdy już wyciągnie kopyta.

Bo i czego od niego ludzie nie żądają, jakie mają doń pretensye.

Przed kilku dniami otrzymał on na przykład kartkę korespondencyjną z Cieszyna, w której jakowaś „trójka hultajska“, jak się sama nazwała, wyraża swoje niezadowolenie, iż ów bogobojny rabin nie określił dokładnie tego plusku, nad którym się przez całe swoje życie zastanawiał.

Zdaniem owych panów odpowiedź miała brzmieć: „Plusk ów byłby tak głośny, jak wszystkie pluski wszystkich drzew, spadających w morze razem wzięte“.

Sądzę, że zawiadamiając o tem P. T. Czytelników, czynię zadość życzeniu „trójki hultajskiej“, której równocześnie dziękuję serdecznie za końcową wzmiankę, odnoszącą się do Weronisi.

Bądźcie Panowie pewni, że, gdybym ją utracił, i ja sam wnetbym za nią pociągnął, co znów pozbawiłoby czytającą Publiczność przyjemności (o ile to przyjemnością nazwać można!... przyp. zecera) porozmawiania sobie raz na tydzień z kronikarzem.

Gorzej daleko wyszedłem na opisie konkursu pływackiego w Parku Krakowskim, narobiłem sobie bowiem wrogów coniemiara i to obojga rodzajów. Zastrzegałem się wprawdzie, iż tam sam nie byłem, występowałem tylko jako *„relata referens“*, na nic się to przecież nie zdało. Całe *odium* tak komitetu, jak pływających i kandydatów na topielców obróciło się w moją stronę.

Najwięcej kłopotu mam ze znajomymi rodzaju męskiego, wstydzącymi się łysin, które zdobią ich makówki, więc zakrywających je perukami. Każdy z nich jest przekonany, że to jego miałem na myśli, patrzy na mnie z podełba, jak gdybym mu wyrządził jaką krzywdę.

Swoją drogą wyrazić muszę zdziwienie, dlaczego człowiek rozumny, to jest mający wszystkie pięć klepek mózgowych na swojem miejscu, ma się wstydzić, że mu włosy z łepety wypadły. Wszak nawet stare przysłowie powiada, że „głupia głowa nie łysieje“. I w samej rzeczy filozofów przedstawiają zawsze z potężnemi łysinami aż do kołnierza (niektórzy nazywają to „rozdziałem fryzury“). Sam widziałem w jednem z muzeów oryginalną współczesną fotografię Sokratesa z okresu, gdy się starał o swą przyszłą żonę, panią Ksantyppę, i zauważyłem na niej (oczywiście na fotografii, nie na Ksantyppie) widoczną skłonność do wyłysienia.

Jeden z mych znajomych, który swojego czasu ubiegał się o katedrę uniwersytecką w Krakowie i kandydował do Akademii Umiejętności, mając bujny porost, starał się wszelkimi sposobami o wyłysienie i dotąd nie spoczął, dopóki na swojem nie postawił, wychodził bowiem z bardzo mądrego założenia, że uczonemu jest z łysiną bardzo do twarzy.

Prawda, że jest to dość niemiłem, gdy w lecie muchy na niej figle wyprawiają, a w zimie mróz dokucza, z drugiej znów strony łysy ma tę wygodę, iż, chcąc się zaczesać, nie potrzebuje wcale zdejmować kapelusza.

Niechaj więc łysi nie tracą fantazyi i dobrej miny i niech się nie uważają za upośledzonych przez matkę naturę. Już w starożytności nieraz różni smarkacze drwili sobie z łysków, jak to wiemy z biblii, z historyi o owym proroku, za którym chłopcy wołali: „Występuj łysku!“ On sobie przecież nic z tego nie robił i dlatego pojechał do nieba na ognistym wozie (prawdopodobnie aeroplanie z motorem benzynowym... przyp. zecera)

Zastrzegam się raz jeszcze, że pisząc o owej utopionej peruce, żadnego z mych znajomych nie miałem na myśli, tak samo jak wzmianka o turniurze, którą podobno we wodzie znaleziono, była tylko powtórzeniem tego, co mi opowiadano.

Z racyi jej bowiem otrzymałem sążnisty list od jakiejś postępowej damy, w którym wykazuje mi czarne na białem (list był pisany atramentem fioletowym na zielonym papierze!), że nie mam racyi, zachęcając kobiety do noszenia krynolin, turniur i t. d. Pomijając już, że na nowomodną suknię trzeba daleko mniej materyału, niż na krynolinę, więc się oszczędza, a teraz są przecież ciężkie czasy, przeciw krynolinom przemawiają też względy bezpieczeństwa publicznego. Bo proszę sobie wyobrazić damę, staromodnie ubraną, chcącą wsiąść do wozu tramwajowego lub przejść przez którą z węższych ulic. Na dłuższy czas byłby tam ruch zupełnie zatamowany.

Na ten drugi argument mógłbym się jeszcze zgodzić, co do owej oszczędności natomiast, to muszę zaznaczyć, że w praktyce dzieje się całkiem przeciwnie, niż to owa doświadczona pani utrzymuje. Im mniej materyału wychodzi na suknię, tem więcej trzeba namysłu i sztuki, by z niczego coś zrobić, *ergo* suknia taka musi też więcej kosztować.

Tak mnie przynajmniej objaśniła pewna profesorka sztuki krawiecko-modniarskiej, wykładająca ten przedmiot w którejś ze szkół krakowskich. Muszę jej wierzyć, gdyż ona się zna na tem, opowiadała mi nawet, iż niedawno jednej ze swych klientek posłała gotową suknię balową w zwykłej kopercie listowej, czemu ja się znowu nie dziwię, nowa bowiem moda polega na tem, że u spodu sukni bardzo mało, od góry jeszcze mniej, a i w środku niewiele.

Co do samej turniury, którą tworzyło ongiś nieraz całe wiązanie różnych drutów i ja nie mam nic przeciw temu, iż wyszła z mody, znam bowiem wypadek, o którym mi przed laty opowiadano, jak to pewna elegantka, siadając z rozmachem, a nieostrożnie, ogromnie boleśnie się skaleczyła, tak, że musiała nawet zasięgać porady lekarskiej...

Wszystko to byłoby jednak głupstwem wobec tego, co się potem stało!

Czytając, słuchając i pisząc tyle o zawodach pływackich, tak się nimi przecież przejąłem, iż postanowiłem na każdy sposób pójść na nie, o ile odbędą się w następną niedzielę.

Weronisi naturalnie ani słowa o tem nie powiedziałem, przygotowując ją jednak z góry, iż w niedzielę popołudniu będę zajęty, mamy bowiem posiedzenie komitetu, mającego się zająć kwestyą, czy w nowo odbudować się mających miastach i wsiach galicyjskich mają być kominy stylu zakopańskiego, czy też może innego. Posiedzenie takie trwa zaś zwykle długo, bo to każdy architekt chwali swój komin. Wobec tego z małżonką na spacer pójść nie będę mógł, wezmę ją natomiast wieczór do teatru.

Myślałem, że mi baba zrobi scenę, zdziwiłem się też mocno, gdy mi odpowiedziała:

— A to doskonale się składa, bo i ja w niedzielę nie będę mieć czasu... Mecenasowa prosiła mnie na kawę, bo to jej imieniny...

Załatwiwszy się w ten sposób z żoną, postanowiłem następnie przekonać się, czy mi nie grozi znowu jakie zawalenie.

rozpytywałem różnych inżynierów o zdanie. Orzekli jednogłośnie, że, co było złe, jest już naprawione,

W niedzielę była pogoda, zaraz więc popołudniu wybrałem się z domu, zabierając naturalnie ze sobą lornetkę, bo to człekowi już oczy nie dopisują, a chciałby, zwłaszcza w pływalni, widzieć wszystko dokładnie...

Weronisia, widząc to, zrobiła złośliwą uwagę:

— Hm! A co to panu po lornecie, skoro się wybierasz na posiedzenie? Chyba idziesz gdzieindziej!

— Gdzieindziej? — udałem zdziwionego — Ciekawym, gdzie?

— Ja tam nie wiem!

— Owszem, idę na posiedzenie, ponieważ zaś przedstawiają nam tam różne plany, a ja się pchać nie lubię, bo mi to szkodzi, wolę wziąć lornetę!

— Aha!... A to szkoda! Bo ja ją chciałam wziąć dziś popołudniu!...

— Teraz znów ja jestem ciekawy, na co? Wszak idziesz do mecenasowej na kawę, a do kawy chyba lorneta niepotrzebna...

— Tak! Po kawie jednak siedzimy sobie na balkonie i oglądamy przechodniów...

— Moje plany ważniejsze, niż twoi przechodnie!

Tym razem stanęło na mojem, ja wziąłem lornetę i powędrowałem z nią do parku, oddała mi też znakomite usługi. Zdala nawet mogłem śledzić ruchy i kształty uczestniczek zawodów, mężczyzn pływających widziałem dość w mem życiu, więc mnie to tak bardzo nie interesuje...

Ale nagle pękła bomba!... Patrzę z zapartym oddechem, jak pewna dzierlatka przygotowuje się do skoku, a tu ktoś kładzie mi rękę na ramieniu... Obracam się wściekły... Weronisia!

Jakby piorun trzasł we mnie...

— A ty co tu robisz?

— A ty co?

— To tak oglądasz kominy!

— A ty tak pijesz kawę u mecenasowej?...

— Posiedzenie odwołane z powodu słabości prelegenta.

— Ja zaś mecenasowej nie zastałam, gdyż, musiała w nagłej sprawie wyjechać z Krakowa i nie miała czasu mnie o tem zawiadomić... Ponieważ zaś mieszka tu blizko, ja zaś miałam przeczucie, że cię tutaj znajdę, przyszłam i nie zawiodłam się!... Obserwuję cię już dłuższy czas, jak pożerasz oczyma, zwłaszcza kobiety... Ty stary bezeceniku! A w domu to takie udaje niewiniątko!... Poczekaj! Już my się rozmówimy w cztery oczy, tu nie chcę robić skandalu...

— Pewnie! Wyprosiliby cię za drzwi!...

— Oho! Nie poszłabym! Kupiłam bilet, zostanę do końca!...

Myślę sobie, źle! W ostatniej jednak chwili jakiś dobry i życzliwy duch podszepnął mi, by też Weronisię wziąć na kawał. A nuż się uda...

— Moja droga! — mówię, robiąc skromną minkę. — Nie masz przypadkiem zapasowej chustki (nosi zawsze dwie ze sobą!), bo swoją zostawiłem w domu...

Babina otwiera torebkę, szukając, na samym wierzchu widzę lornetę...

Jak tygrys rzucam się na nią, chwytam w rękę *corpus delicti* i wołam z tryumfem, aż się ludzie zaczynają oglądać i psykać.

— Tak?... To się nazywa: przyszłam przypadkiem, a lornetę wzięłam ze sobą! Ho! ho! W starym piecu, widzę, dyabeł pali... Zachciało się pani podrażnienia nerwów!... A mnie to beształa za to... Czekaj, pogadamy sobie o tem w cztery oczy...

Pierwszy może raz w życiu nie odpowiedziała nic, jak sztubak, przyłapany na gorącym uczynku, widziałem jednak z jej miny, iż się nie bardzo gniewała, wobec czego w miłej zgodzie dotrwaliśmy do końca popisów, potem poszliśmy razem do domu, gdzie, jako oboje równo winni, o całym wypadku w cztery oczy już nie gadaliśmy.

W każdym razie obiecałem sobie, że nie prędko znowu zobaczy mnie kto w pływalni, chyba, że Weronisi nie będzie wtedy w Krakowie, a ja będę mógł być spokojnym, że nie spotka mnie niespodzianka w guście wyżej opisanej.

Zresztą bez wypadku obeszło się zupełnie. Dowiadywałem się także, co słychać z właścicielem owej nieszczęsnej peruki i właścicielką turniury, powiedziano mi, że dotąd nikt się po zgubę nie zgłosił, wykluczonem jest także, by mogli byli zginąć w głębinie. Wobec tego zgubę oddano do magistratu.

Na zakończenie pozostawiłem sobie bardzo ważną kwestyę, mianowicie pytanie, kto w Krakowie ma większe znaczenie, nieżyjący już Kościuszko, czy też żyjący pan Kosobucki i przekonałem się na własne swoje oczy, iż ten ostatni.

Dlaczego zaś, zaraz opowiem.

Gdy postanowiono budowę linii tramwajowej przez ulicę Wiślną, przekonano się, że trzeba będzie przesunąć kamień Kościuszkowski w inne miejsce. Posypały się protesty, nic to nie pomogło, Kościuszko musiał ustąpić tramwajowi.

Kilka dni temu jadę sobie najspokojniej tramwajem przez ulicę Floryańską, aż tu w miejscu, gdzie przystanku niema, nadprogramowy postój... Wyłażę z wozu, a tu, jak długa ulica, tramwaj za tramwajem.

Pytam się, co za przyczyna i dowiaduję, że przed apteką Wiśniewskiego spadło koło od „Smoka“ czyli fortepianu pana Kosobuckiego i teraz je zakładają.

Zaczęliśmy protestować, na nic się to przecież nie zdało, tramwaj musiał stać tak długo, dopóki „Smoka“ nie przywrócono *in statum, quo ante*.

Kościuszko nie potrafił zatrzymać tramwaju, dokazał tego, wprawdzie nie osobiście pan Kosobucki, ale jego „Smok“, wobec czego każdy mi przyzna, że mam racyę. Ktoby mi zaś racyi przyznać nie chciał, to i tak nic sobie z tego nie robię.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Pierwsza, polska samogłoska,
Druga, grecka to spółgłoska,
Trzecia znów polska spółgłoska,
Czwarta zaś grecka spółgłoska,
Piąta, polska samogłoska,
Całość zaś taki skutek wywiera,
Że człek po człeku umiera.

Zagadki.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Leciał sobie ptak bez pierza na drzewo bez liścia będące. Przyszła pani bez gęby i zjadła onego ptaka. Ptak?.. Pani?

* * *

Stoi w stajni, chrupie sobie owies, nosi człowieka i widzi tak samo z tyłu, jak z przodu. Co to jest?

* * *

Ma cztery nogi, a nie chodzi, ma dwoje oczu, a nie widzi, ma dwoje uszu, a nie słyszy, skacze zaś, jak wieża Maryacka. Co to?

* * *

Pełen a cichy, pusty a głośny. Co to za stworzenie?

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego malarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Część domu rzymskiego. 3 Badacz starożytności. 4. Taniec węgierski. 5. Szlachcic hiszpański. 6. Następca tronu w Hiszpanii. 7 Rodzaj poezyi. 8 Roślina gospodarska. 9 Imię męskie. 10. Zaimek. 11 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mój cietrzew zamyka potomki.

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej powieściopisarki, w drugiem tytuł jej utworu.

$$\frac{m}{3}+\frac{n}{2}+\frac{o}{4}=x.$$

$$\frac{p}{3}+\frac{r}{2}+\frac{s}{2}=y.$$

Znaczenie wyrazów: m) Owad. n) Leśne zwierzę. o) Kobieta z haremu. p) Grzyb. r) Produkt mączny. s) Pseudonim współczesnego poety.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jej wilczę w Derw ma siedem lat

Łamigłówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zmarłego niedawno polskiego powieściopisarza Legionisty

— ak
—ra
— ak
—an
— ak
— ak
— le
— an
—ra
— ar
— ak
—ra
— to

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

No Zdzichu! Kocha obie skale barona! E!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dziopa, giełda, kąt, mąka i piana. rzecz

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

S. Y TRZAS.

TANTAL ROP.

LEON GIDOR.

PIOTR A. MOTEL.

KAROL PROT ES

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Królewiacy.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

Trójkąt magiczny:

R o z w a d o w s k i Z.
O r d y n a r y u s z
Z m a r s z c z k a
W i k a r y u s z
A l b a t r o s
D z i ą s ł o
O b c ę g i
W y d r a
S k o p
K u r
I ł
Z

Szarada: Koleta.

Okienko:

F i l i p
i i i
l i t w a
i w r
p i a r g

Przysłowiówka: Ten się nie boi, kto złego nie broi.

Łamigłówka:

Wola
Anam
Rada
Sara
Zara
Azor
Wata
Anyż
Wina
Omar
Lete
Noga
Amor

Równanie:

Smarkacz + Kowno + Jaskinia = Kaczkowski.
Abrakadabra + Ciamajda + Ślusarz + Korabniki = Bracia ślubni.

Przekładanka: Kobyła ma mały bok.

Bilety wizytowe: M-trampaż. Komiwoj żer. Antykwaryusz Komisyoner. Kantorzystka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, R Królicki Krościenko n. D.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **L. Kozubski, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Kino „Czerwonego Krzyża" ul. Akademicka l. 8. we Lwowie. Za zezwoleniem władz wojskowych zostało u nas staraniem kilku oficerów powołane do życia kino, którego czysty dochód przeznaczony jest na „Czerwony Krzyż" i powiększenie funduszu dla wdów i sierót po pozostałych żołnierzach z Galicyi Umiano ocenić szlachetny cel nowego przedsiębiorstwa, kiedy czysty dochód ostatnich dwóch tygodni przyniósł 2000 koron. Wielce się również przyczynił do otwarcia placówki o celach tak humanitarnych dyr. Sigelbaum, przedstawiciel firmy R. Müller we Wiedniu, który bezinteresownie oddał całe urządzenie kinematograficzne i bezpłatnie dostarcza film. — Publiczność lwowska poprze nowe przedsiębiorstwo, które poza miłą rozrywką daje możność choć w części goić rany, zadane przez wojnę, a miasta większe pójdą śladem stolicy przez stworzenie u siebie przedsiębiorstw z podobnym celem.

Program wielce urozmaicony — wśród innych punktów daje epizody walk i bojów.

Kącik humorystyczny.

Przed reunionem w Krynicy.

— Ależ, moja Zosiu, jesteś strasznie wydekoltowana, to doprawdy nie wypada!...
— Przecież wcale nie głębiej, jak mama!
— Tak! tak! Być może! W mym wieku to już jednak nie szkodzi!...

W takim razie co innego!

Godzina ósma rano, do biura bankiera, pana X., wpada przerażony buchalter:
— Panie radco! Kasa otwarta! Kasyer umknął, zabrawszy całą gotówkę w kwocie dwadzieścia pięć tysięcy koron!
— A to łotr! Poślij pan zaraz woźnego na inspekcyę policyjną, aby zrobił doniesienie! Może go jeszcze złapią! Niechże się pan spieszy! Czego pan jeszcze chce?...
— Panie radco... Proszę się zbytnio nie przerazić... z nim uciekła i pańska żona!
— Co?... moja żona? W takim razie niech pan nie posyła nikogo...

Właściwy powód.

— To jednak ciekawe, moja kochana pani Tomaszowa, że mąż pani strzyże się tak krótko...
— Ze strachu, moja pani, ze strachu! Taki tchórz z niego!

W żeńskiem gimnazyum.

Profesorka: Co mi panna Stefcia może powiedzieć o rodzinie storczykowatych?
Stefcia milczy jak zaklęta.
Profesorka: No, przecież Stefcia musi wiedzieć coś, jeśli już nie z książki, to bodaj ze słuchu..
Stefcia (po namyśle): Kiedy mama zabroniła mi mówić o cudzych stosunkach familijnych!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.